

main, gdzie winniśmy byli przejść na inny tor, by przepuścić pociąg kuryerski. Wskutek złego manewrowania odczepił się z końca jeden wóz i wagon trzeciej klasy i oba wozy zaczęły szybko toczyć się po pochyłości. Krzyk smarkownika zwrócił mą uwagę na wypadek. Dałem zaraz kontrparę. Konduktor dawał mi rękoma rozpaczliwe znaki. Domyśliłem się, że hamulec jego przestał funkcjonować.

Kuryer lada chwilę miał nadejść; zbliżał się z szybkością przeszło ośmdziesięciu kilometrów na godzinę. Przewidywałem już katastrofę, jaka musi nastąpić, jeżeli nie zdolam dogonić uciekających wagonów. Nadomiar nie-szczęścia z Saony podnosiła się gęsta mgła. Nie można było nawet marzyć o tem, by maszynista z kuryera spostrzegł zawczasu przeszkodę, zagrażającą mu drogę.

Tymczasem doganiałem już oba wagony; konduktor gotów już był do przyłączenia ich do reszty pociągu. Po chwili krzyknął mi, bym zwolnił biegu, gdyż inaczej nie mógłby dokonać tego manewru. Z lekkiego szarpnięcia poznałem, że buforzy zderzyły się. Zatrzymałem pociąg. Lecz ku mej rozpaczce wagony potoczyły się dalej. Konduktorowi nie udało się złączenie.

Należało nanowo zaczynać. Tymczasem pasażerowie zaczęli wysuwać głowy przez okna, domyślając się, iż coś się dzieje w nieporządku. Na platformie dworca stał jakiś młody, mniej więcej dwudziestopięcioletni mężczyzna i widział pierwszą daremną próbę połączenia pociągu. Zrozumiał niebezpieczeństwo i gotował się pomóc konduktorowi. Dzięki jego udziałowi zdołano w istocie za drugim razem przy-czepić oba wagony.

Spieszyłem się cofnąć na inny tor jak najprędzej, gdy nagle rozległ się świst gwizdawk, znamionujący, że za kilka chwil kuryer najedzie na nas. Czy ale zdążę dojechać do zwrotnicy? Byłoby to jedyne nasze zbawienie. Dałem całą parę, by dotrzeć do tego naszego schroniska, coraz głośniejszy jednak szum, przedzierający się przez mgłę, zwiastował mi nieuniknioną zgubę. Jedna minuta, półtorej minuty. Cały wiek. Wreszcie czuję pod nogami lekkie chwieanie się maszyny przy przyjeździe na inne szyny, w tej jednak chwili zajaśniały przedemną w zmroku dwa wielkie światła. Wielka maszyna pociągu kuryerskiego wpadła z ogłuszającym łoskotem na końcowe me wagony. Ujrzałem, jak wzbila się wysoko, jakby chciała jednym skokiem przebyć tę zagrołę, poczem wszystko zwało się; uderzenie udzieliło się i mojej maszynie i poczułem, że lecę gdzieś w przepaść.

Gdy ocknąłem się, zobaczyłem, że leżę na materacu w poczekalni dworca, który zamieniono na tymczasowy szpital. Szczęśliwym trafem dla mnie, z wypadku tego wyszedłem tylko ze złamaną ręką i silnymi kontuzjami w głowę, ogólny zaś bilans tego strasznego dnia stanowiło piętnastu zabitych i przeszło pięćdziesięciu rannych. Człowieka, dzięki którego przytomności umysłu i odwadze uniknęlibyśmy tego nieszczęścia, gdyby kuryer nadszedł o pół minuty później, już potem nie widziałem, ani nie dowiedziałem się jego nazwiska. Zapewne zginął sam jako ofiara swego poświęcenia...

Artykuł ten kończył się spisem zabitych i rannych pasażerów. W pierwszym rzędzie figurowało nazwisko pani Lionelowej Hardy, pięknej synowej amerykańskiego milionera Hardy'ego.

Drżącą ręką oddałem wycinek ten doktorowi Bressant. Byłem tak wzruszony, jakbym sam doznawał wszystkich wrzów dzielnego maszynisty.

— Jak to się stało — zapytałem — że pani Hardy sama zginęła w tym wypadku. Czy mąż nie był razem z nią?

— Nie i to jest właśnie jeden z ciekawszych szczegółów w całej tej sprawie. Nie było go w pociągu. Żona miała przyjechać do niego do Bourboule, gdzie bawił już od tygodnia. W tym też celu opuściła Paryż. Zdawać się może, iż on jakby cudem znalazł się zaraz na miejscu katastrofy. Ci, co go tam widzieli, twierdzili, iż jak Herkules pracował wśród złomów wagonów. Wreszcie znalazł ją. Była martwą. Wtedy przestał pracować, co zresztą łatwe było do zrozumienia. Czyż można wystawić sobie coś bardziej strasznego od takiego odkrycia? Czyż można przypuścić, by taki cios nie wywołał w jego umyśle ujemnych następstw?

— W istocie, podobna scena, choćby nie dotyczyła nas osobiście, może wywrzeć na nerwy jak najgorszy wpływ, który potem odczuwa się przez długie lata. Proszę też wybaczyć mi, że tak bardzo podtrzymywałem swą tezę; opowiadanie maszynisty nasunęło mi nowe przypuszczenie. Jak to się stało, że Lionel w tak odpowiedniej chwili znalazł się na miejscu katastrofy, bo przecież nie zdążyłby przy-biedz z Bourboule. Wynika z tego, iż musiał znaj-



Przypuszczam, że nie jako pacjenta mam przyjemność widzieć pana u siebie.

dować się gdzieś w sąsiedztwie, gdy zdarzył się ten wypadek.

— Pytanie to nieraz sobie zadawałem, nie mogłem jednak dać sobie na nie zadawalającej odpowiedzi. Już dawno doszedłem do tego samego rezultatu, co i pan. Faktem jest, iż stwierdzono jego obecność natychmiast, jak tylko rozwiął się dym i para z maszyn. Lecz co się panu stało? Wydaje się pan wzruszony. Czy nowa jaka myśl zjawiła się panu?

Usiłowałem mówić spokojnie, prawda jednak nakazuje wyznać, że wcale mi się to nie udało.

— Tak! — zawołałem — dziwna, przejmująca myśl. A jeżeli tym młodym człowiekiem, który pośpieszył na pomoc przy zczepianiu pociągu, był właśnie Lionel Hardy? Jeżeli postępował tak, będąc przekonany, że w kuryerze znajduje się jego ubóstwiana żona? Co pan o tem sądzi?

Wzruszenie doktora dorównywało mojemu.

— To możliwe — rzekł. — Nigdy nie mogłem sobie wytłumaczyć jego w porę tam obecności, ani tajemnicy, jaką z tego czynił.

— Swego tłumaczenia nie podaję jako fakt stwierdzony, lecz tylko jako możliwą do przyjęcia hipotezę. Cios, jaki on zniósł z powodu tragicznej śmierci swej żony, aż nadto starczył do wywoła-

nia zmiany charakteru u człowieka najzdrowszego na umyśle.

— Pewnem jest, iż z tą chwilą przestał być takim, jakim był poprzednio.

— Ile czasu upłynęło po katastrofie, zanim go pan znowu widział?

— Nie więcej nad dwa dni. Zawezwał mnie telegraficznie do Saint-Germain i zaraz się tam udałem, by pomóc mu w sprowadzeniu ukochanych zwłok do Paryża. Przypominam sobie, że zastałem go w takim podrażnieniu nerwowym, iż zaczęło mnie to niepokoić. W gruncie rzeczy było to zupełnie naturalne. Po pogrzebie zdawał się z wolna uspokajać.

— A mała Klara? Nic pan o niej nie wspomina. Gdzie ona się wówczas znajdowała? Czy była razem z swymi rodzicami?

— Nie. Nie miała jeszcze dwóch lat. Zaledwie została odłączona od piersi, zajął się nią zaraz dziadek. Wychowywał ją przy sobie. Może zaledwie raz lub dwa razy widział swą matkę od urodzenia.

Chciałem zapytać się dobrego doktora o powody tej jawnej wrogości u człowieka tak zacnego, jakim był pan Hardy, widząc jednak, że mnie do tego wcale nie zachęca, zadowolilem się temi tylko słowami:

— Wreszcie zdobyliśmy pierwszy dowód na wypadek, gdyby trzeba było dowodzić niepożyteczności Lionela, lecz tego było za mało. Nierówność jego postępowania ma bardzo wiele podobieństwa z wybrykami człowieka, którego nic nie może powstrzymać.

— Nie podzielał w zupełności pańskiego zdania. W swym normalnym stanie Lionel okazuje wiele altruizmu. Sprawę tę jednak postaram się zbadać bez zwłoki. Pół godziny rozmowy z nim wystarczy mi do przekonania się, czy jest on rzeczywiście chory na umyśle, czy też tylko stał się ofiarą swych wyuzdanych namiętności i morderczych skłonności.

Przy słowach tych zacny doktor powstał, gotując się do natychmiastowego wyjścia.

— Ależ, doktorze, pan jeszcze nie jadł obiadu!

— Nie jestem głodny.

Odprowadziłem doktora aż do rogu ulicy, gdzie się z nim pożegnałem. Dałbym wiele za możliwość wejścia razem z nim do pałacu Hardy'ch, ponieważ jednak nie mogłem nawet marzyć o tem, zawróciłem w przeciwną drogę i udałem się do siebie.

W jaki sposób w trzy kwadransy potem, w chwili, gdy zapalano latarnie na ulicach, znalazłem się na avenue Champs Elysées w pobliżu domu, do którego postanowiłem nie podchodzić, tego sam nie wiem.

Przez całe popołudnie była nadzwyczaj przykra pogoda, a od kilku chwil zaczął padać drobny, przenikliwy deszcz, mało zachęcający do spacerowania po trotuarze. Rozglądałem się dokoła, szukając jakiegoś schronienia i wreszcie dojrzałem po drugiej stronie avenue nowobudujący się dom, gdzie znalazłem pod rusztowaniem ucieczkę przed deszczem i doskonały widok na główny podjazd do pałacu Hardy'ch.

Zaledwie stanąłem na tem miejscu, gdy przez avenue przebiegł szybko jakiś mały chłopiec z listem w rękę, oglądając się na wszystkie strony, jakby się bał, by go kto nie zatrzymał.

Zauważyłem również niespokojną minę, z jaką siłą prawie wsunął ten list do ręki wahającego się Mateusza, który na znak dzwonka zjawił się przy wejściu. Wskutek zamknięcia natychmiast drzwi, nie mogłem zaspokoić swej ciekawości. Gubiłem się w domysłach, co mogło znaczyć to tajemnicze wręczenie listu. Zanim jednak zdążyłem odprowadzić wzrokiem do rogu avenue Antin uciekającego chłopca, gdy drzwi pałacu otworzyły się znowu i wyszedł z nich doktor Bressant.

Gdybym nie był świadkiem dziwnego zachowania się oddawcy listu i wahania się starego Mateusza, nie śmiałbym zdradzić swej obecności przed doktorem z obawy, by nie posądził mnie o szpiegowanie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)